Niech zostanie po nas światło

Dwie ambicje nie muszą rzucać na siebie cienia



Laura Bellini

Niech zostanie po nas światło

Dwie ambicje nie muszą rzucać na siebie cienia

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384903728

ALL-IN Rafał Płonkowski

SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Cena własnego światła..... 11
Rozdział 2 - Granice i obietnice..... 21
Rozdział 3 - Temperatura zaufania 31
Rozdział 4 - Po godzinach..... 40
Rozdział 5 - Prawo do odmowy..... 49
Rozdział 6 - Światło między nami..... 60
Rozdział 7 - Imię zapisane światłem..... 70
Rozdział 8 - Świat poza hutą 80
Rozdział 9 - Ryzyko zapisane w szkle..... 90
Rozdział 10 - Miejsce dla dwojga 101
Rozdział 11 - To, czego nie powiedzieliśmy 113
Rozdział 12 - Nazwisko pod projektem 123
Rozdział 13 - Cena widoczności.....134
Rozdział 14 - Między pragnieniem a prawdą..... 144
Rozdział 15 - Pod cudzym nazwiskiem.....154
Rozdział 16 - Odległość między światłami.....165
Rozdział 17 - Własny głos 174
Rozdział 18 - Miejsce na dwa nazwiska 184
Rozdział 19 - Dwa nazwiska, jedna historia.....196
Rozdział 20 - Niech zostanie po nas światło..... 206

INTRO

Pierwszą rzeczą, którą poczułam po wejściu do hali, było ciepło. Nie przyjemne ciepło domu ani suche powietrze z kaloryfera. To było ciepło gęste, niemal materialne, osiadające na skórze i pod ubraniem, pachnące metalem, pyłem i czymś mineralnym, czego nie potrafiłam nazwać. Zatrzymałam się za żółtą linią namalowaną na posadzce i przez chwilę patrzyłam, jak człowiek po drugiej stronie hali obraca na końcu długiej piszczeli kulę rozgrzanego szkła. Była pomarańczowa, prawie biała w środku, jak maleńkie słońce trzymane w rękach przez kogoś, kto dokładnie wiedział, ile może mu pozwolić.

Właśnie po to tu przyjechałam.

Nie po słońce. Po kontrolę.

Miałam czterdzieści dwie minuty do spotkania, teczkę pełną rysunków i plan, nad którym pracowałam od siedmiu miesięcy. Sześć lamp. Jedna kolekcja. Szkło formowane ręcznie, bez udawanej perfekcji, z delikatnym przesunięciem osi światła, dzięki któremu każda sztuka miała wyglądać inaczej po zmroku niż za dnia. Znalazłam odpowiednią technologię, wyliczyłam koszty, rozmawiałam z galeriami w Warszawie, Berlinie i Kopenhadze. Brakowało mi tylko warsztatu zdolnego wykonać szkło dokładnie tak, jak chciałam.

Warsztatu Maurycego Kłosa.

Sama świadomość, że potrzebuję kogoś jeszcze, drażniła mnie bardziej, niż powinna.

Wyjęłam telefon, zrobiłam zdjęcie światła odbijającego się od stalowego stołu i odruchowo przesunęłam palcem po

ekranie, jakbym mogła już teraz wykadrować z tego gotową lampę. Szkło powinno rozpraszać światło, nie więzić go wewnątrz. Moje projekty zawsze zaczynały się od tego zdania. Ludzie kupowali lampy, bo potrzebowali przedmiotu. Ja projektowałam je tak, żeby po kilku tygodniach przestawali zauważać przedmiot, a zaczynali zauważać przestrzeń, którą tworzył.

— Pani Sowa?

Odwróciłam się.

Mężczyzna, który szedł w moją stronę, nie wyglądał jak ktoś przysłany po gościa z recepcji. Nie miał koszuli ani marynarki, tylko ciemny T-shirt, robocze spodnie i okulary ochronne podniesione na głowę. Siwe nitki na skroniach nie próbowały udawać, że ich nie ma. Na lewym przedramieniu widniała jasna blizna, dłonie miał oprószone matowym pyłem, a sposób, w jaki patrzył, był zdecydowanie zbyt spokojny jak na człowieka, który spóźnił się na spotkanie o dziewięć minut.

Spojrzałam na zegarek.

— Jeśli jest pan Maurycym Kłosem, to tak.

Kącik jego ust drgnął.

— Zaczynamy od punktualności?

— Zaczęliśmy dziewięć minut temu.

— Czyli jednak.

Podszedł bliżej i podał mi rękę. Miał mocny uścisk, ale nie demonstracyjny. Taki, który bardziej potwierdzał obecność niż próbował coś udowodnić.

— Maurycy Kłos. Przepraszam. Pękł nam klosz przy odprężaniu. Wolałem zobaczyć dlaczego, zanim zacznę pani opowiadać, że wszystko u nas działa idealnie.

To powinno było mnie rozbroić.

Nie rozbroiło.

Za to zainteresowało.

— Idealne rzeczy rzadko mnie interesują.

Spojrzał na teczkę pod moim ramieniem.

— To może się dobrze składać.

Ruszył wzdłuż hali, a ja poszłam za nim. Nie prowadził mnie do biura. Zamiast tego minęliśmy dwa piece, stół pokryty narzędziami i kilka drewnianych form, ciemnych od lat używania. Co parę metrów ktoś go zatrzymywał. Odpowiadał krótko, bez podnoszenia głosu. Raz zmienił decyzję po jednym zdaniu pracownika. Innym razem poprosił, żeby czegoś nie poprawiać, tylko zostawić i obejrzeć po wystygnięciu. Nie grał właściciela. Nie potrzebował.

I właśnie to było problemem.

Lubiłam ludzi kompetentnych.

Za bardzo.

— Spodziewałam się stołu, kawy i rozmowy o terminach — powiedziałam.

— To dostanie pani później. Najpierw chcę pani pokazać, dlaczego połowa pani rysunków nie wyjdzie tak, jak pani zakłada.

Zatrzymałam się.

On zrobił jeszcze dwa kroki, zanim zauważył.

— Słucham?

Odwrócił się i popatrzył na mnie bez cienia skruchy.

— Przejrzałem materiały, które pani wysłała.

— I zdołał pan w dziewięć minut zdecydować, że połowa nie wyjdzie?

— Nie. Zajęło mi to wczoraj prawie dwie godziny.

Poczułam pierwszą, bardzo wyraźną rysę na planie dnia.

— Ciekawe, że nie napisał pan tego w mailu.

— W mailu odpowiedziałaby pani, że trzeba znaleźć sposób.

— Bo trzeba.

Tym razem uśmiechnął się naprawdę.

Nie szeroko. Nie kokieteryjnie. Jak człowiek, który właśnie usłyszał dokładnie to, czego się spodziewał.

— Właśnie dlatego panią zaprosiłem.

Nie podobało mi się, że jedno zdanie wystarczyło, by złość przesunęła się o kilka centymetrów w stronę ciekawości.

Maurycy otworzył ciężkie drzwi do mniejszego pomieszczenia. Na półkach stały próbki szkła: mleczne, dymione, przezroczyste, barwione w masie. Jedne były gładkie, inne pofalowane, jakby ktoś zatrzymał w nich ruch wody. Na środku stołu leżał wydruk jednego z moich projektów. Mój rysunek był poznaczony ołówkiem.

Podeszłam natychmiast.

— To są moje proporcje.

— Wiem.

— Pozmieniał pan je.

— Zaznaczyłem miejsca, w których szkło zdecyduje inaczej niż pani.

Uniosłam wzrok.

— Szkło nie podejmuje decyzji.

— To znaczy, że jeszcze pani z nim nie pracowała.

Powinnam była uznać to za protekcjonalne. Zamiast tego usłyszałam w jego głosie coś, co znałam ze swojego. Pewność wynikającą nie z przekonania o własnej nieomylności, ale z setek błędów popełnionych wcześniej.

Maurycy wziął ze stołu niewielką próbkę bursztynowego szkła i podniósł ją pod światło. Na pierwszy rzut oka była zbyt ciężka, zbyt ciemna dla mojego projektu. Potem przesunął ją o kilka centymetrów i zobaczyłam cienką smugę złota biegnącą przez środek materiału.

Przez moment nie powiedziałam nic.

— Temperatura zmienia rozkład barwy — wyjaśnił. — Jeśli spróbujemy zrobić dokładnie to, co pani narysowała, dostanie pani ładny przedmiot. Jeśli pozwolimy materiałowi trochę odejść od projektu, może pani dostać światło.

Wyciągnęłam rękę.

Nie podał mi próbki od razu.

Nasze spojrzenia spotkały się nad kawałkiem szkła.

— Mogę? — zapytałam.

Dopiero wtedy położył ją na mojej dłoni.

Była chłodna i cięższa, niż wyglądała. Przesunęłam ją pod lampą. Złota linia pojawiła się ponownie, tym razem na moich palcach.

Widziałam już tę lampę.

Nie tę z mojego rysunku.

Lepszą.

To odkrycie zirytowało mnie prawie tak samo, jak zachwyciło.

— Mówił pan, że połowa projektów nie wyjdzie.

— Tak.

— A druga połowa?

Maurycy oparł dłoń o stół. Stał po przeciwnej stronie, wystarczająco blisko, żebym czuła od niego ciepło hali i słaby zapach dymu, choć nie widziałam wcześniej, żeby palił.

— Druga połowa może być początkiem czegoś, czego żadne z nas nie zrobiłoby osobno.

Opuściłam wzrok na własny rysunek pokryty jego uwagami.

Przyjechałam tu, żeby znaleźć wykonawcę dla swojej kolekcji. Miał dostać dokumentację, wycenić produkcję i udowodnić, że potrafi zrealizować mój pomysł bez naruszania tego, co było moje.

Po niecałym kwadransie zaczynałam rozumieć, że Maurycy Kłos nie zamierzał niczego po prostu wykonywać.

Najgorsze było to, że pierwszy raz od wielu miesięcy naprawdę chciałam usłyszeć, co zaproponuje.

Podniosłam głowę.

— Dobrze. Pokaże mi pan, gdzie jeszcze według pana się mylę?

Przez sekundę patrzył na mnie tak, jakby to pytanie miało znaczenie większe niż rozmowa o szkle.

— Jeśli pani naprawdę chce wiedzieć.

Wiedziałam.

I właśnie dlatego, stojąc naprzeciw niego w bursztynowym świetle huty, po raz pierwszy pomyślałam, że

mój starannie zabezpieczony plan może nie przetrwać tego spotkania.

Nie wiedziałam tylko, czy bardziej boję się tego, że Maurycy spróbuje go zmienić, czy tego, że pozwolę mu zmienić również coś we mnie.

Rozdział 1 - Cena własnego światła

Maurycy rozłożył na stole trzy kolejne rysunki, a ja od razu zauważyłam, że nie ułożył ich według numeracji. Wybrał te, które uważał za najtrudniejsze. Przez chwilę obserwowałam jego dłonie przesuwające arkusze po drewnianym blacie. Były to dłonie człowieka przyzwyczajonego do ciężaru, temperatury i materiału, który nie wybaczał nieuwagi. Mimo to obchodził się z moimi projektami z ostrożnością niemal zaskakującą u kogoś, kto przed chwilą bezceremonialnie zakwestionował połowę mojej pracy.

— Zacznijmy od tego — powiedział, wskazując lampę o asymetrycznym kloszu.

— Od najtrudniejszego?

— Od najuczciwszego.

Przyjrzałam mu się uważniej.

— Pan zawsze mówi w ten sposób?

— W jaki?

— Jakby każde zdanie miało zostać wygrawerowane na ścianie warsztatu.

Roześmiał się cicho.

— Tylko kiedy ktoś próbuje mnie przekonać, że szkło powinno zachowywać się jak aluminium.

Nie zamierzałam się uśmiechać. Niestety, zrobiłam to.

Wyciągnęłam z teczki dodatkowy arkusz. Zawierał przekrój techniczny klosza, którego Maurycy najwyraźniej nie otrzymał w przesłanej dokumentacji. Rozłożyłam go obok jego notatek i zaznaczyłam miejsce, w którym zamierzałam

ukryć mocowanie. Konstrukcja opierała się na dwóch niezależnych elementach. Jeden miał przenosić obciążenie, drugi jedynie rozpraszać światło.

— Nie próbuję zmuszać szkła do niczego, czego nie potrafi — wyjaśniłam. — Chcę, żeby wyglądało, jakby utrzymywało się w powietrzu bez pomocy metalu.

Maurycy pochylił się nad przekrojem.

— Tego nie było w plikach.

— Bo to rozwiązanie konstrukcyjne, nie oferta produkcyjna.

— A jednak oczekuje pani wyceny.

— Oczekuję rozmowy, po której będę mogła przekazać pełną dokumentację.

Przez chwilę milczał. Potem odsunął wcześniejszy rysunek i przysunął sobie nowy.

— W takim razie zaczynamy od początku. Ale tym razem oboje pokazujemy karty.

Nie odpowiedziałam od razu.

W ciągu piętnastu lat prowadzenia własnego studia nauczyłam się, że słowo „współpraca" bywało eleganckim określeniem sytuacji, w której jedna osoba dostarczała pomysł, a druga przejmowała prawo do opowiadania o jego powstaniu. Zdarzyło mi się już projektować dla firm, które w katalogach umieszczały moje nazwisko mniejszą czcionką niż informację o rodzaju przewodu zasilającego. Nie chciałam wracać do tamtych czasów.

— Zależy, co rozumie pan przez wszystkie karty.

— Nie interesuje mnie pani lista klientów ani marża. Chcę wiedzieć, czy mam wykonać sześć przedmiotów, czy stworzyć z panią coś, czego jeszcze nie ma.

To było pierwsze zdanie, które naprawdę mnie zatrzymało.

— Przyjechałam z gotową kolekcją.

— Przyjechała pani z sześcioma bardzo dobrymi projektami. To niezupełnie to samo.

Powinnam była poczuć się urażona. Zamiast tego spojrzałam na bursztynową próbkę leżącą obok rysunków. Jeszcze godzinę wcześniej nie przewidywałam dla niej żadnego miejsca. Teraz widziałam, jak mogłaby zmienić najważniejszą lampę całego zestawu.

— Czego pan właściwie chce, panie Kłos?

— Maurycy. Jeśli mamy spędzić razem kilka tygodni, nazwisko zrobi się męczące.

— Nie ustaliliśmy jeszcze, że spędzimy razem kilka tygodni.

— Wiem. Dlatego próbuję panią przekonać.

Podniósł wzrok i po raz pierwszy od naszego spotkania nie uśmiechnął się ani trochę.

— Chcę współtworzyć tę kolekcję. Nie tylko ją produkować.

W hali za ścianą rozległ się metaliczny stukot. Ktoś zawołał coś niewyraźnie, a potem znów usłyszałam jednostajny szum wentylacji. Pomyślałam, że w innych okolicznościach mogłabym uznać tę propozycję za spełnienie zawodowego marzenia. Wspólna praca z człowiekiem, który rozumiał materiał równie dobrze, jak ja

rozumiałam światło, była przecież dokładnie tym, czego potrzebowałam.

Problem polegał na tym, że nie planowałam dzielić się sterem.

— Co to oznacza w praktyce?

— Pracujemy nad formą razem. Pani odpowiada za światło, funkcję i język całej kolekcji. Ja za szkło, technologię i możliwości warsztatu. Jeśli coś nie działa, oboje mamy prawo powiedzieć „nie".

— A jeśli się nie zgodzimy?

— Szukamy trzeciego rozwiązania.

— To brzmi pięknie, dopóki nie pojawią się pieniądze.

Maurycy skinął głową.

— Dlatego o nich też porozmawiamy.

Usiedliśmy przy stole. Wyciągnął notes w poplamionej okładce, nie laptop ani przygotowaną prezentację. Zapisywał liczby szybko, bez ozdobników. Koszt form, prób, godzin pracy, odpadów, odprężania i ewentualnych poprawek. Nie próbował ukrywać pozycji, które mogłyby wyglądać niekorzystnie. Kiedy zapytałam o procent nieudanych odlewów, podał go bez wahania.

— Przy takiej geometrii? Na początku może dwadzieścia pięć procent.

— Dużo.

— Wystarczająco, żeby nie obiecywać pani cudów.

— A później?

— Jeśli dobrze opracujemy proces, zejdziemy poniżej dziesięciu.

Zaczęłam notować. W pewnym momencie podał mi ołówek, zanim zdążyłam sięgnąć do torebki. Ten drobny gest był dziwnie intymny w swojej zwyczajności. Zauważył, że potrzebuję narzędzia, i po prostu je podał. Bez komentarza, bez przerywania rozmowy.

Przez następną godzinę spieraliśmy się o milimetry, temperatury i proporcje. Maurycy odrzucił moje pierwsze rozwiązanie zawieszenia. Ja wykazałam, że jego propozycja pogorszyłaby rozsył światła i stworzyła ciemną plamę na suficie. Przyniósł próbkę szkła o innej grubości. Przyłożyłam do niej latarkę telefonu, a potem przesunęłam źródło światła pod odpowiednim kątem.

— Widzisz? — zapytałam odruchowo.

Zorientowałam się, że przeszłam na „ty", dopiero kiedy odpowiedział.

— Widzę.

Nie poprawił mnie. Nie wykorzystał tego do żartu. Po prostu stanął obok, żeby spojrzeć z tej samej perspektywy.

Wtedy po raz pierwszy poczułam, jak łatwo mogłabym przyzwyczaić się do jego obecności.

Nie do wyglądu, chociaż trudno było nie zauważyć szerokich ramion i spokojnej twarzy mężczyzny, który nie próbował ukrywać swoich czterdziestu siedmiu lat. Bardziej do sposobu, w jaki potrafił słuchać. Nie czekał wyłącznie na swoją kolej, żeby mówić. Kiedy przedstawiałam argument, sprawdzał go, nawet jeśli przeczył jego wcześniejszej opinii.

Takiej uwagi brakowało mi od dawna.

Około czternastej weszła do pomieszczenia kobieta w granatowym fartuchu. Miała krótkie włosy i spojrzenie osoby, która od lat nie daje się zaskakiwać.

— Maurycy, Andrzej pyta, czy zatwierdzasz próbę na jutro. I przyszło potwierdzenie z drukarni.

Podała mu dwa dokumenty.

— Dzięki, Ewa. Za dziesięć minut przyjdę.

Kobieta spojrzała na mnie z życzliwą ciekawością.

— Pani od lamp?

— Liliana Sowa.

— Ewa Borkowska. Pilnuję, żeby ten człowiek nie obiecywał klientom rzeczy, których potem nie da się wyprodukować.

— Dzisiaj obiecał mi bardzo niewiele.

— To znaczy, że mu zależy.

Maurycy westchnął.

— Ewa.

— Już wychodzę.

Kiedy drzwi się zamknęły, zauważyłam, że jeden z dokumentów dotyczył katalogu warsztatu. Na górze widniało duże logo: KŁOS. SZKŁO I ŚWIATŁO. Pod spodem umieszczono fotografie kilku eleganckich przedmiotów.

— Macie własną linię produktów? — zapytałam.

Maurycy przykrył dokument notesem, ale nie na tyle szybko, by wyglądało to na przypadek.

— Od kilku lat. Niewielką.

— I chcesz ją rozwijać?

— Chcę, żeby warsztat nie był kojarzony wyłącznie z wykonywaniem cudzych zamówień.

Zrozumiałam, dlaczego moja kolekcja mogła go interesować bardziej, niż sugerowała początkowa rozmowa.

— Czyli oboje mamy coś do udowodnienia.

Spojrzał na mnie.

— Komu?

— To zależy od dnia.

Przez moment wydawało mi się, że zapyta o więcej. Nie zrobił tego. Zamknął notes i odsunął krzesło.

— Chodź. Pokażę ci jeszcze jedną rzecz.

Zaprowadził mnie do niewielkiego pomieszczenia za halą, gdzie na metalowym stojaku ustawiono lampę, która nie przypominała niczego z jego katalogu. Klosz był nieregularny, z jednej strony niemal przezroczysty, z drugiej ciemny jak mocna herbata. Światło przechodziło przez niego nierówno, rzucając na ścianę miękką smugę.

— To eksperyment sprzed dwóch lat — powiedział. — Nigdy nie trafił do sprzedaży.

— Dlaczego?

— Nie umiałem znaleźć dla niego odpowiedniej konstrukcji.

Przyklękłam, żeby obejrzeć podstawę. Była ciężka, zbyt masywna. Gasiła lekkość szkła.

— Wiem, co jest nie tak.

— Domyślam się.

— Nie potrzebujesz podstawy. Potrzebujesz przeciwwagi ukrytej w mocowaniu.

Maurycy przykucnął obok.

— To samo pomyślałem, kiedy zobaczyłem twój projekt numer cztery.

Odwróciłam głowę. Nasze twarze znalazły się bliżej, niż przewidywała zwykła rozmowa zawodowa. Zobaczyłam drobne zmarszczki przy jego oczach i niewielkie skaleczenie na brodzie. Pachniał mydłem, drewnem i czymś ciepłym, czego nie potrafiłam oddzielić od zapachu hali.

Nie odsunął się gwałtownie. Ja również nie.

— Czyli dlatego mnie zaprosiłeś? — zapytałam ciszej.

— Między innymi.

— A pozostałe powody?

Wstał pierwszy i podał mi rękę. Przyjęłam ją, choć nie potrzebowałam pomocy.

— Jeszcze ich nie ustaliliśmy.

Wróciliśmy do stołu z innym nastawieniem. Nie miałam już ochoty udowadniać, że wszystkie moje pierwotne decyzje były doskonałe. Chciałam sprawdzić, co moglibyśmy osiągnąć, gdybyśmy połączyli jego znajomość szkła z moim doświadczeniem w projektowaniu oświetlenia.

Nie oznaczało to jednak zgody na wszystko.

— Zróbmy jedną próbę — zaproponowałam. — Jeden klosz. Bez zobowiązania do całej kolekcji.

— Z którego projektu?

— Czwartego. Ale z nowym mocowaniem.

— I z inną grubością szkła.

— Niech będzie.

Maurycy zapisał ustalenia, po czym zawahał się nad pustą linią.

— Roboczo możemy prowadzić to jako projekt warsztatu.

Uniosłam głowę.

— Roboczo możesz nazywać to nawet „kosmicznym naleśnikiem", dopóki dokumentacja pozostaje wewnętrzna. Ale w umowie chcę jasnego zapisu o autorstwie projektu.

Nie spodobało mu się to. Zobaczyłam krótkie napięcie w szczęce.

— Oczywiście.

— Maurycy.

— Tak?

— Nie powiedziałam tego przypadkiem.

Odłożył długopis.

— Wiem.

Przez chwilę siedzieliśmy naprzeciw siebie w ciszy. Nie była nieprzyjemna, ale miała ciężar czegoś, czego żadne z nas nie chciało jeszcze nazwać.

— Dobrze — powiedział w końcu. — Przygotuję propozycję warunków. Ty ją sprawdzisz. Niczego nie zaczynamy bez twojej zgody.

— A ty nie zaczynasz bez moich rysunków.

— Wygląda na to, że jesteśmy na siebie skazani.

— Nie przesadzaj. Na razie tylko na jeden klosz.

Uśmiechnął się, a ja zorientowałam się, że czekałam na ten uśmiech.

Kiedy wychodziłam z warsztatu, niebo nad Dolnym Śląskiem miało kolor mokrego grafitu. Powietrze było chłodne i pachniało deszczem. Maurycy odprowadził mnie do drzwi, choć nie musiał.

— Liliana.

Odwróciłam się.

— Tak?

— Nie chcę, żebyś pomyślała, że próbuję przejąć twoją kolekcję.

Patrzyłam na niego przez chwilę.

— W takim razie nie dawaj mi powodów.

Nie obraził się.

— Uczciwe.

Wsiadłam do samochodu z teczką pełną nowych uwag i głową pełną myśli, których nie planowałam zabierać ze sobą. Po raz pierwszy od miesięcy nie miałam pewności, jak będzie wyglądał końcowy efekt mojej pracy.

I po raz pierwszy od równie dawna ta niepewność nie była wyłącznie nieprzyjemna.

Rozdział 2 - Granice i obietnice

Następnego ranka obudził mnie telefon od Marty, zanim zdążyłam wypić pierwszą kawę. Moja przyjaciółka miała zwyczaj dzwonić o godzinach, które uważała za rozsądne, niezależnie od tego, czy reszta świata podzielała jej opinię. Przez ostatnie dwanaście lat prowadziła niewielką galerię designu we Wrocławiu i należała do nielicznych osób, które potrafiły powiedzieć mi, że mój projekt jest zły, nie ryzykując zakończenia znajomości.

— I jak było? — zapytała bez przywitania.

Stałam przy oknie wynajętego apartamentu, patrząc na mokre dachy niewielkiego dolnośląskiego miasteczka. Na stole leżały rysunki, których nie schowałam poprzedniego wieczoru. Obok nich stała filiżanka zimnej kawy i bursztynowa próbka szkła, którą Maurycy pozwolił mi zabrać do obejrzenia w naturalnym świetle.

— Interesująco.

— To twoje słowo na katastrofę albo fascynację. Które tym razem?

— Jeszcze nie wiem.

Marta roześmiała się.

— Czyli mężczyzna jest przystojny.

— Rozmawiamy o warsztacie.

— Oczywiście. Dlatego brzmisz, jakbyś miała siedemnaście lat i próbowała przekonać matkę, że idziesz tylko pożyczyć zeszyt.

Oparłam czoło o chłodną szybę.

— Ma czterdzieści siedem lat, prowadzi własną firmę i uważa, że połowa moich projektów wymaga zmian.

— Brzmi obiecująco.

— Marta.

— Co? Wreszcie spotkałaś kogoś, kto nie mówi ci wyłącznie tego, co chcesz usłyszeć.

Nie odpowiedziałam. Nie dlatego, że nie miałam argumentów. Po prostu wiedziałam, że w tym jednym punkcie miała rację.

Przez ostatnie lata zbudowałam życie, które wyglądało dokładnie tak, jak chciałam. Własne studio, mieszkanie we Wrocławiu, wystarczająco dużo zleceń, żeby nie przyjmować wszystkiego, i wystarczająco dużo samotności, żeby nikt nie przeszkadzał mi pracować do drugiej w nocy. Po rozwodzie długo przekonywałam siebie, że niezależność oznacza brak konieczności tłumaczenia komukolwiek własnych decyzji. Z czasem zaczęłam podejrzewać, że pomyliłam niezależność z przyzwyczajeniem do milczenia.

— Mam z nim dzisiaj ustalić warunki współpracy — powiedziałam.

— I czego się boisz?

Spojrzałam na próbkę szkła.

— Że będzie chciał za dużo.

— A ty?

— Ja też.

Marta nie odpowiedziała od razu.

— To może pierwszy raz od dawna będziecie rozmawiać jak równi partnerzy.